



PIOTR WŁÓDARCZAK

ZOO-zwierzenia zootechnika

Fuerteventura, czyli Ślicznotka na wyspie wiatrów

Gdzie żyją kanarki?

Gdy byłem w szkole podstawowej, za dobre wyniki w nauce dostałem mojego pierwszego ptaka, a był nim żółty kanarek. Przez pierwszy tydzień siedziałem przy jego klatce i z wypiekami na twarzy obserwowałem co robi i jak kręci łebkiem. Gdybym mógł wtedy odbyć podróż na Wyspy Kanaryjskie, to mógłbym oglądać je w naturze i słuchać ich śpiewu. Chociaż kanarki nie śpiewają zbyt chętnie, gdy mają dużą przestrzeń i swobodę ruchów. Dlatego, biedne, siedzą w małych klatkach, aby całą swoją energię wykorzystać na trele.

Fuerteventura. Podróż na Wyspy Kanaryjskie

Podróż nie jest trudna, wystarczy wsiąść do *low costów*, przeżegnać się, zmówić „Zdrowaśkę”, a potem 5 godzin lotu

i już! *Fuerteventura* należy do archipelagu Wysp Kanaryjskich, jest w nim drugą największą wyspą, po *Teneryfie*, ale za to najstarszą. Należy do Hiszpanii. Ci zawsze wezmą fajne wyspy dla siebie! Cały archipelag, jak i sama *Fuerteventura*, przycupnęły przy północno-zachodnim wybrzeżu Afryki, jakieś 100 km do brzegu. Dlatego klimat panuje tam suchy, a znad Sahary uderzają często biurze piaskowe. No nie..., takiej odległości między wyspą a Afryką, i w takim wietrze, kanarek nie przeleci, nie da rady. Pamiętam, że jak dmuchnąłem mojemu mocno w mojego to się prawie przewrócił, a gdzieś tutaj walczyć z wichrem znad Sahary. Ale i na samej wyspie nie ma lekko, bo tam wieje, a potem WIEJE i na końcu bardzo WIEJE! Stąd pochodzi właśnie nazwa wyspy, od hiszpańskich słów: „*fuerte*” i „*viento*”, które oznaczają silny wiatr.

Nieopodal *Fuertey* leży wyspa *Lanzarote* – na północy, a na południe od niej położona jest wyspa *Gran Canaria*. Wszystkie trzy tworzą prowincję *Las Palmas*. Brzmi fantastycznie, i na wyspie palmy są, jak najbardziej! Całości obrazu dopełnia pustylny krajobraz i skały wulkaniczne. Ale kilka miast jest, spoko, jak najbardziej są miasta.

Po co lecieć na Fuerteventurę?

No właśnie, po kiego grzyba? Dla niewtajemniczonych to zwykle dziura, na plaży nie da się poleżeć, bo pod wpływem ostrego wiatru piaseczek siecze po łydkach i po gębie milionami ziarenek. A nie ma na plażach parawanów – polskich wynalazków, które gęstym sznurem pokrywają wybrzeże Bałtyku, a wewnątrz bytują całe populacje rodaków śmiejących wokół ile się da. Niektórzy kopią nawet nory w piasku





i w nich zakopują swoje skarby. Wystarczy obejrzeć sobie w TV, jakie pobojuwisko zostaje po nich na plażach. „Buractwo” pełną gębą, ale buraki nie wyrosną na piasku, dlatego prędzej czy później wracają one do domu.

Na *Fuercie* ciężko byłoby kopać, bo wybrzeże jest dość kamieniste. Dlatego naszych jest tam jak na lekarstwo, w każdym razie nie ma tłumów Polaków, jak np. w Bułgarii. Wracając do *Fuerteventury* to żyją na wyspie jej mieszkańcy – ponad 80.000 ludków – bo nie mają wyjścia. Pierwotnych mieszkańców wyspy nazywano *Maho*, czyli ludzi chodzących w butach

z kozłej skóry. No takie eleganciki. Na wyspie można znaleźć też przygodę, w końcu w dawnych czasach często przyplływali tam handlarze niewolników i poszukiwacze skarbów. Ale mieli pecha, bo żyli w czasach bez internetu i blogów, Facebooków i innego tego dziadostwa, nie mogli więc swoich wspaniałych przeżyć zamieszczać w postaci wpisów. Ponieważ na wyspie, leżącej na Atlantyku, nieustannie wieje, więc współcześnie jest mekką surferów, którzy mają tutaj z Europy znacznie bliżej niż do Australii. Włoski na głowie warto jednak postawić na żel, bo grzywka będzie trochę rozczochrana.

Ślicznotka wkracza na wyspę wiatrów

Po swoją przygodę poleciało 50% moich genów homologicznych. Geny występują normalnie w parach, ale w procesie rozmnażania pary rozdzielają się i po jednym allelu trafia do komórki rozrodczej: jajowej lub plemnika. Potem losowo łączą się one w zygotę i nowy organizm znów ma komplet genów, a od każdego rodzica ma jeden zestaw. To są właśnie geny homologiczne. Reasumując, moja córka, tuż przed swoją osiemnastką i w towarzystwie *psiapsiółek* (według nomenklatury babci tak się określa bliskie koleżanki) poleciała szukać swojego szczęścia w oceanicznych falach, na desce surfingowej. Po wylądowaniu na wyspie, cała ekipa zawitała do międzynarodowego kampusu dla surferów i impreza się zaczęła.

Kilka dni na desce z instruktorem Enrico i nie tylko

Przystojny, zjarany słońcem, umięśniony i wypieszczony wiatrem Enrico co rano brał nasze dzielne dziewczyny w swoje szpony i wywoził z kampusu na plażę. Plaża na *Fuercie* nie brakuje, w końcu jest wyspą, więc jest ponad 100 plaż, piaszczystych i kamienistych. Tam wszyscy wkładali na siebie piankę, brali deski i hajda w fale. Stanie na desce okazało się dość trudne, zwłaszcza w stanie trzeźwości. A trzeba było na niej stać, aby móc zjeżdżać, a raczej ślizgać się na czole fali morskiej. Największy efekt osiąga się na wodach przybrzeżnych, gdzie tworzą się duże i spektakularne fale, bo woda pchana z oceanu wiatrem, w kierunku brzegu natrafia na płyciznę. Gdy do deski dodasz żagiel, to mamy już windsurfing, a jeśli do napędu używamy małego latawca, to jest kitesurfing. Oba kierunki są modne na polskim Helu. Jeśli nie chce ci się stać, to połóż się na desce i leż, a wtedy będzie bodyboard.



A po godzinach spędzonych na fali trzeba było coś zjeść, najlepiej typową dla Hiszpanów *paella*. W Polsce to bigos jest potrawą, która powstaje z resztek wszelakich. Otwierasz lodówkę i wszystko co tam zalega – bach ! – do gara, do kapusty. W Hiszpanii taką rolę czyściciela chłodniaków pełni *paella*, czyli ryż + dodatki.

Po surfing, gdy mięśnie nóg doszły już do siebie, trzeba było iść na dyskotekę. Osoba nie będąca jeszcze osiemnastką może mieć problemy z wejściem do takiego przybytku, bo ochroniarze sprawdzają ID. Dziewczyny przyjęły moją strategię z lat studenckich, czyli na zmęczenie przeciwnika. Pierwszych pięć niewiast po kolei podchodziło do stojącego na bramce *Mana* i długo gmerały w kieszeniach, żeby znaleźć dokument. Pan już trochę się zmęczył, więc gdy ostatnia – nieletnia – podeszła z krzywym uśmiechem na gębę i stwierdziła: „*sorry, forgot ID*”, robiąc oczy wielkie jak złotówki, uwierzył i z ulgą machnął ręką: „*przechodzić, nie zagracać wejścia*”. Jednak na koniec nie omieszkiał stwierdzić: „*zapraszam ponownie, ale bez dokumentu już nie wejdiesz*”.

Rumuńska wstawka

Kiedyś, gdy byłem studentem i podróżowaliśmy zatłoczonym autobusem po Rumunii, gruba kontrolerka koniecznie chciała sprawdzić nasze bilety. Ja stałem na środku autobusu, dwóch kolegów na końcu, a przy kierowcy stała nasza koleżanka – wysoka blondi. Pani dotarła do mnie i na jej ostre pytające spojrzenie odpowiedziałem, że bilety mają koledzy z tyłu. Kontrolerka jak taran pomknęła w ich kierunku, po drodze przewracając jakichś chudzielców, którzy stali jej na drodze. Po kilku minutach przeciskania się w tłoku, chwyciła kolegów za szmaty i wychrypiała: „bilety są?!”. Kolegów trochę strach obleciał, ale wskazali palcem na naszą wysoką blondi na przodzie i trwożliwie powiedzieli: „eee.. ona ma nasze bilety”. Rumunka sapnęła, gul już jej skoczył, odwróciła się na pięcie, i dawaj do przodu, kopniakami i łokciami torowała sobie drogę w ciżbie. Pasażerowie padali na jej drodze, jakby ktoś wyrąb lasu przeprowadzał. Z wysiłkiem pani dopadła do naszej reprezentacyjnej koleżanki i wyłuszczyła czego od niej chce. Niestety... okazało się, że ona też nie ma biletów. Bilety miał Maciej, ale gdzie był Maciej? To był nasz koleżka, który zamarudził przy wsiadaniu zbyt długo i nie wsiadł w ogóle do autobusu. Został biedak na rowie, ale z naszymi wszystkimi biletami. Dzielna kontrolerka nie powiedziała tak samo jak hiszpański ochroniarz, że następnym razem mamy mieć bilety, tylko z triumfem na twarzy wykopała nas z pojazdu.

Mowa polska robi furorę

Okazało się, że wystarczy mówić po polsku i mieć powodzenie. Gdy dzielna ekipa naszych młodych surferek rozpuściła swoje języki i w ruch poszły głoski jak: „ś”, „ć”, „sz”, „cz” itp. to ludzie wokół zaczęli nasłuchiwać, co to jest za dziwny i fajny język. Niektórzy podchodzili i wprost pytali: „*co to jest za język, z jakiego kraju pochodzicie?*”, a inni skradali się i podsłuchiwali z ukontentowaniem zza winkła, co one tam gadają? Na *Fuerteventurze* nawet nudne, durne i usypiające przemowy naszych polityków robiłyby furorę. Nieważne co mówią, ważne, że po polsku. Ludzie by się cieszyli i wreszcie ktoś zdołał tego wysłuchać. Jeden Łotysz długo analizował napotkaną mowę dziewczyn i mocno główkował co to za język, ale gdy nagle usłyszał słowo na k..., już wiedział i wykrzyknął: „*to są Polacy!*”. Eureka! Gdy wieść się rozeszła o tym po prowincji, nawet miejscowy DJ wołał za nimi na plaży: „*ej, dziewczyny, mam dla Was polski przebój*”, po czym z głośników popłynęła muza: „*Ona tańczy dla mnie*”.

Zapraszam więc wszystkich na wyspę, na pewno znajdziecie na niej mnóstwo przygód. Od przygody, inaczej *adventure*, pochodzi również nazwa *Fuerteventura*. Jednym z ważnych bywalców na wyspie, w jej historii, był Francuz Jean de Bethen-

court i on określał wyspę jako mocną przygodę – z francuskiego: „*forte i aventure*”. Mówił tak, bo napażał się zbrojnie z mieszkańcami, czego Wam nie życzę! Na wyspie jest generalnie spokój i porządek, a tubylcy są mili, więc nie ma obawy, że będą jakieś zamieszki. Ale lepiej nie zasypiać na leżaku na plaży, nawet wtedy, gdy wieje i jest pochmurnie, bo spalicie się na czerwono jak rak.

A gdzie jest nasz kanarek?

Nie mówię o kanarze – kontrolerze biletów w autobusach, które na wyspie też istnieją, ale o małym ptaszku śpiewającym z rodziny łuszczakowatych. Występuje na Azorach, Maderze i na Wyspach Kanaryjskich, gdzie żyje sobie 10 lat. W niewoli trzyma się je od XV wieku, kiedy to Hiszpanie rozpowszechnili je na kontynencie europejskim, zwłaszcza po tym, jak przejęli Wyspy Kanaryjskie. Kanarki służyły górnikom i jeździły z nimi pod ziemię, a gdy zamiast śpiewać zaczęły rzeźać, a nawet odwalać kitę, to znaczyło, żeby brać nogi za pas, bo otoczenie jest niebezpieczne. Hm... jak będziecie na archipelagu Wysp Kanaryjskich, złapcie sobie kanarka, a gdy zacznie rzeźać to znaczy, że otoczenie jest toksyczne i czas wracać już do domu. *Hasta luego!* ■

